

Kronika tygodniowa.

Dziś dopiero, gdy miesiąc dobiega już połowy, mogę poświęcić kilka słów obchodowi zakończenia starego roku. Ale nie moja w tem wina, stanęła mi w drodze owa niewiasta, która raczyła mi łaskawie ofiarować swą rękę, serce papierową koldrę i oszczędności, przeznaczone na czarną godzinę. Jak już Szanowni Czytelnicy wiedzą, oferty nie przyjmuję ze względu na paragraf 206 i następne ustawy karnej, które bardzo brzydko mówią o dopuszczających się zbrodni dwużeństwa.

Noc Sylwestrową spędził Kraków na ogół bardzo wesoło. Patrząc na rozbawionych mieszkańców Krakusowego grodu, niktby nawet nie przypuścił, że zmosfera wojenna dusi nas już przeszło od półtora roku.

Największą frekwencją cieszyły się, rzecz prosta, restauracje i kawiarnie, w których przygrywała muzyka, a napływ gości był tak gwałtowny, że poprostu licytowano miejsca. W jednym z tego rodzaju przybytków gastronomicznych, gdzie cenę wstępu ustanowiono trzy korony, już o godzinie dziewiętej płacono ośm koron za miejsce przy stoliku i to jeszcze każdy, komu udało się je zdobyć, uważał za wielkie szczęście.

Kronikarza, który Sylwestra obchodził dotąd z zasady w gronie rodziny, zaprosił w tym roku wyjątkowo pewien znajomy na bombkę staroroczną, a potem noworoczną, wykiwał nas jednak obydwu odnośny restaurator, który raczył zapomnieć, że dzień przedtem zamówiony był dla nas stolik.

Ale niema złego, któreby na dobre nie wyszło. Gdybyśmy tam byli poszli, nie byłibyśmy widzieli życia kawiarnianego w noc Sylwestrową. Ostatecznie w pewnej kawiarni, gdzie także grała muzyka, a ludzi było już tyle, że nawet szpilki nie potrafiłbyś wbić, udało się nam czterema koronami wzruszyć serce kelnera i zdobyć dwa miejsca przy stoliku.

Ruch, ścisk, harmider, dym, gorąco, do tego licha czarna kawa i herbata, jeszcze podlejsze piwo, potrawy niesmaczne i drogie, oto przyjemności, jakich wówczas zasnaliśmy. Dziś jeszcze nie zdołałem przyprowadzić żołądka do równowagi, choć przepłukiwałem kiszki pięciu flaszkami gorzkiej wody, aby się w ten sposób pozbyć zeszłorocznych zaległości.

Powolutku zbliża się godzina dwunasta, kelnerzy zaczynają roznosić węgierskiego szampana, podanego jednak po francusku, to jest po prawdziwie „wojennej” cenie. Tuż przed samą północą przechodzi przez salę stary rok, odpowiednio obdarty, zmyka jednak prędko, by przypadkiem ktoś nie wywarł na nim swej złości za całoroczne niepowodzenia i zawody.

Wreszcie odzywa się zegar, światła gasną, muzyka gra tusz, zaczynają się piski, krzyki, sykania. Z jednej strony dochodzi mnie cienki głosik, zapewne damski: „Panie! Co pan robi!” — z drugiej słyszę bas męski: „Nie rób piekła!... Daj mi pan święty spokój!”...

I znów robi się jasno, wśród publiczności zjawia się nowy rok, rozdzielający kwiaty... Młodzi ludzie rzucają się nań i omal go nie duszą. Każdy ciekawy, niewiasty wyląza na stolki, słychać jakiś głuchy trzask, to pewna korpulentna obywatelka zmieniła nagle ugrupowanie i znalazła się na ziemi.

— Zła wróżba! — powiada ktoś z boku.

— Ciekawym, czy pani nie nabawiła się sińca... — dodaje drugi.

— Trzy koronki za połamany stołek! — konkluduje sam gospodarz.

Z kolei następuje spokój, przerywany tylko od czasu do czasu trzaskiem korków węgiersko-szampańskich i marszem Radeckiego, którym orkiestra wita rok nowy. Potem rozlegają się tony czaradasy, wreszcie, jakby z łaski, „Wieniec pieśni polskich”. Ludziska winszują sobie, ściskając sobie ręce i zebra, tu i ówdzie przyjaciele i przyjaciółki dają sobie buzi, życząc nawzajem, by wojna już się raz skończyła...

I znów marsze, oklaski, nawoływania, wreszcie słychać stereotypowe odezwanie właściciela kawiarni: — Panowie! *Fajerań!*...

Tak! Druga godzina bije, z rozkazu komendy kończy się wesołość, a zaczyna smutna rzeczywistość, która będzie nam się dawała we znaki przez dni trzysta sześćdziesiąt sześć, jako iż rok ten jest przestępnym.

Zaczyna się polowanie za płatniczym, który zwija się, niczem mucha w ukropie i w pospiechu myli, ale z zasady na niekorzyść gościa, jeszcze

jedna wódeczka na dobranoc, druga na dzień dobry i powoli znajduje się człowiek na ulicy, zdążając w stronę domowego ogniska, które już zapewne wygasło.

Już po drodze spotykasz gratulantów, życzących ci z serca wszelkiej pomyślności, łatwo się ich przecieć pozbyć, gdyż w ciemności można dać guzik zamiast szóstki.

Wkońcu, po długich a dolegliwych cierpieniach znalazłeś się pod bramą i zaczynasz dzwonić, jak to mówią „na urząd”, gdyż i cerber domowy, czyli stróż, urządził sobie także Sylwestra i trochę przebrał miarki, więc teraz spi, jak zabity.

Wszystko jednak ma swój koniec, skończyło się też i dzwonienie, jesteśmy już w sieni, gdzie pan stróż życzy „wielmożnemu panu fortuny, a po śmierci korony” i wyciąga łapę.

— Dobrodzieju! — ja mu na to. — Co mi po koronie, gdy już żyć nie będę! Wolałbym ich mieć teraz i to dużo, to i o was nie zapomnielibym pewnie! ...Przyjdźcie rano, teraz nie mam drobnych!

Mruknął coś pod nosem, co przypominało głos niezadowolonego niedźwiedzia, tyknął na mnie lewym okiem, a widząc, że nie sięgam do kieszeni, dodał:

— Psiakrew! Ładny początek!...

W mieszkaniu spokój, z pod koldry dochodzi tylko miarowy oddech połowicy. Ponieważ zachowuję się dosyć niespokojnie, Weronisia otwiera oczy i odzywa się swym słodkim głosikiem:

— O tym czasie?...

— No... a kiedyż miałem przyjść?

— I do tego urznięty, jak beła!

— Weronisiu! Jak Boga kocham, to dopiero pierwszy raz w tym roku!

— I zapewne nie ostatni...

Chciałem jej powinszować, nie chciała słuchać, odwróciwszy się twarzą do ściany, wobec czego zrezygnowałem z wypełnienia tego małżeńskiego obowiązku i wkrótce sam znalazłem się też w objęciach Morfeusza.

A śniłem tak pięknie, choć nie pamiętam już, o czym, zapewne jednak musiały się przewijać przez mózg wspomnienia z Sylwestrowej nocy.

Na ogół stwierdzić muszę, że Kraków bawił się doskonale, a każdy, kto patrzył na to z boku, przyzna, że wojna nie dała się nam tak bardzo we znaki i że chyba przetrzymamy jeszcze i rok, jeśliby do tego przyszło... Wolałbym przecież, a ze mną zapewne i wszyscy, gdyby się to już raz skończyło i gdybyśmy mogli następnego Sylwestra obchodzić już po zawarciu pokoju... Kto wie, czy wówczas i ja nie zafundowałbym z radości, bodaj ...syfon wody sodowej, gdyż na więcej mnie nie stać.

Rano, w dzień Nowego Roku, słońce już wysoko wylazło na niebo, gdy po raz pierwszy wystawił nos z pod koldry. Weronisia dreptała już po pokoju, robiąc tak zwane porządki, latorośle młodsze zapiekali sobie loki, grzejąc szczypcę nad lampą. Oburzyłem się na takie marnowanie drogocennej nafty, usłyszałem na to odpowiedź:

— Tak! Pewnie!... Szkoda kilku centów na naftę, ale nie żal ci było wydać kilka koron na pijatwkę!...

Tłumaczyłem się wprawdzie, że byłem tylko gościem mego przyjaciela, Weronisia jakoś temu wierzyć nie chciała i zapeszyła mi przez to rok cały... Gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła!

Zacząłem powoli przywdziewać na się godowe szaty, bo to trzeba tu i ówdzie pójść z życzeniami, przeskądzano mi przecież stale. Co chwila zgłaszał się jakiś gratulant, a szereg ich rozpoczęli państwo stróżowie. Z kolei zjawił się jeden i drugi listonosz, kominiarz (co on właściwie chce odemnie?... Nigdy mi komina nie czyścił!...), robotnicy z Zakładu Tallarda i wielu, wielu innych. Ostatnim był pan gospodarz, który wpadł tylko na chwileczkę, życząc zdrowia i powodzenia i zapowiadając, że zapewne już od lutego będzie musiał czynsz podnieść, gdyż czasy są coraz cięższe, a wydatki coraz większe...

— Racya! Racya!... Święte słowa! — ja mu na to — Ja też z tego właśnie powodu zdaje się będę musiał od lutego przestać czynsz płacić!...

Popatrzył na mnie niczem krokodyl na hipopotama i pożegnał się jeszcze prędzej, niż się witał, a ja mogłem wreszcie wyjść na miasto i rozpocząć odwiedzanie znajomych, zwłaszcza tych, o których wiem, że wyznają zasadę: „Gość w dom, Bóg w dom”... Przy tej sposobności stwierdziłem, że nie wygasła jeszcze w naszym społeczeństwie cnota staropolskiej gościnności i kiedyś, gdy wolny czas pozwoli, poświęcę jej specjalną wzmiankę, jak na to zasługuje.

Na razie przechodzę nad tem do porządku dziennego, mając zabrać głos w kilku sprawach, które oddali mi do załatwienia moi koledzy redakcyjni.

W pierwszym więc rzędzie referent zagadkowy

uprasza Szanownych Czytelników, którzy nadsyłają mu swe utwory, aby czynili to w listach należycie opłaconych, coraz bowiem częściej się zdarza, że zapomną na kopercie przykleić markę, lub przykleją wprawdzie, ale już używaną, wobec czego narażają nas na niepotrzebne wydatki. Dotąd nie wyszła jeszcze ustawa, na mocy której utwory młodych autorów wolne są od opłaty pocztowej.

Co zaś najważniejsze, to chyba to, iż przeważnie takie „drogie” dla nas zagadki, jako nie nadające się do druku, wędrują prosto ze stołu redakcyjnego do kosza.

Drugi z kolegów, zajmujący się działem powieściowym, prosi panią M. w D. o łaskawą wyrozumiałość. Niech się tylko stosunki poprawią, zaczniemy zaraz druk dłuższej, oryginalnej powieści, na razie musimy sobie dać z tem pokój, gdyż, wobec warunków coraz cięższych, zaledwie udać nam się związać koniec z końcem, o nadzwyczajnych wydatkach więc nawet myśleć nie można. A powieść oryginalna dłuższa, to bardzo poważna rubryka w redakcyjnym budżecie, który teraz, wobec prawie zupełnego braku ogłoszeń, przedstawia się bardzo mizernie.

Nie wiem też, w czym kronikarz niedawno „przeholował” (słowa owej pani). Do winy się nie poczuwa, jeśli przecież zgrzeszył, prosi o przebaczenie, gdyż jest tylko człowiekiem, a wiadomo, że nawet święty grzeszy siedm razy na dzień. A cóż dopiero kronikarz, który nie ma nawet pretensji do tego, by kiedyś być zaliczonym w poczet świętych lub choćby błogosławionych!...

Wreszcie, na sam koniec, chowam sobie trzecią sprawę, a jest nią odpowiedź pewnej niewieście, która ukryła się skromnie pod figowy listek, podpisując się słowem: „Prenumeratorka”.

Na anonimy nie powinno się wcale reagować, ale a *limine* pchać je do kosza, w danym wypadku muszę przecież zrobić wyjątek i treści kartki korespondencyjnej poświęcić słów kilkoro.

Gdybym bodaj wiedział, gdzie mieszka Autorka! Niestety, nie wspomniała o tem, stampila zaś pocztowa jest, jak zwykle, zamazana. Widoczną jest jedynie pieczęć lwowskiej cenzury, przypuszczam więc, że nad Pełtwią obrała sobie siedzibę.

Otóż Pani owa, czy też może Panienska, bo z pisma tego poznać nie mogłem, oburza się na Redakcję, że, podając wzmiankę o podróży księdza biskupa Bandurskiego do obozu Legionistów, odnosi się do Jego osoby z serwilizmem. Piszę między innymi: „Zginacie się w pół, przed kim?... Co uczynił dobrego”... i tak dalej w ten deseń, a nawet gorzej.

Łaskawa pani! Kim jest ks. biskup Bandurski i co zdziałał dobrego dla całego polskiego społeczeństwa, tego nie wie chyba ten, kto o tem wiedzieć nie chce, każdy zaś uczciwie myślący człowiek, nawet nie katolik, musi mu dodać zasłużoną cześć i wyrazić uznanie, jest to bowiem prawdziwy typ kapłana patrioty i obywatela, jakich mało mamy pośród nas.

Z pomiędzy wierszy owej korespondencji widać taka zawiść rasowa i przewrotność iście wschodnia, potrafiąca kota obrócić do góry ogonem, a już specjalną złością ziejąca wobec polskiego duchowieństwa, że chyba nie potrzeba być bardzo domyślnym, by mózdz przypuścić, skąd wyszła inspiracja do napisania owej admonicyi, skierowanej pod adresem naszej Redakcyi, która, jak to każdy chyba przyzna, wobec wszystkich warstw naszego społeczeństwa zachowuje się z wzorową bezstronnością i każdemu, kimby on był i jakie zajmował stanowisko, oddaje co mu się należy.

Wobec tego napaść na naszą Redakcję, a pośrednio i na osobę tak zasłużonego człowieka, jakim jest ks. biskup Bandurski, wymaga publicznego napiętnowania, co niniejszem czynię z całą przyjemnością, życząc Autorce, by zmieniła swe zapatrywania i nie występowała, jako rzeczniczka całego społeczeństwa, zwłaszcza, jeśli jej o to nikt nie prosi.

Sedy tycho.. i t. d., jak powiada Rusin.

